



Odczyty tygodnik



NUMER 9-10 (118-119)

KATOWICE — WROCLAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 29 LUTEGO — 13 MARCA 1948 R.

ROK IV

JAN DRDA

Igraszki z diabłem

Jan Drda (ur. 1915) jest czolowym przedstawicielem młodego pokolenia czeskich prozatorów. Proza jego reprezentuje wysokie walory artystyczne, odznacza się plastyką, barwnością i świeżością. Debiutował w r. 1940 powieścią „Miasteczko na dloni”, przełożona już na język polski. Następne jego powieści: „Żywa woda” (1941) i „Piełgrzymki Piotra Siedmiogóra” (1943). Po wojnie wydał zbiór opowiadań „Niema barykada”. Jest również dramaturgiem. Na scenie debiutował w r. 1941 sztuką z życia górników „Jako i my odpuszczamy” (1941), po wojnie wielkim powodzeniem cieszy się jego komedia „Igraszki z diabłem”, która jeszcze w tym sezonie ukazuje się na scenach polskich.

ODSEJNA PIERWSZA
Pusty las, Wśród wysokich świerków częściowo przysłonięta niskimi krzakami stoi chałupa z napisem: „Sarka-Farka, rozbójnik”. W drzwiach tej chałupy niewidoczny dla przechodniów siedzi Sarka-Farka, zaroiwszy, w szpiczastym kapeluszu zbrojnickim z piórem i przeciąga wiewiórkę kłką lufy pistoletów. Z boku wiegna na scenę Marcin Kabat. Na plecach ma tłumaczek wędrownicy, w ręku laskę. Sarka-Farka spozregłszy go, szybko nabija obydwu pistolety i kryje się za świerkiem. Marcin wiegna szybko, oczy utkwiłone w górce, widocznie ściga po lesie wiewiórkę, która przeskakuje z korony jednego świerka na drugą.

MARCIN: Widzicie go tego rudzielca! Już jest tam! A kysz! (uderza laską o pień drzewa, chwilę przygląda się uważnie, potem podbiega do następnego). Robć co chcecie bracie, ale Marcinowi nie uciekniecie! Ja dziecinno... (biegnie do trzeciego drzewa, uderza laską o pień) i dawalem radę... jedziesz jak oferma! (znów biegnie do innego drzewa w ślad za skaczącą w górce niewidoczną wiewiórką) i dawalem radę lepszemu od ciebie grenadierom! (Ujmuję laskę jak szablę i zaczyna nią „ciąć” wokół głowy). Tego dzikusa janczara takim na dwie polówki przerabam, że nogi nie wiedziały, gdzie im się głowa podziała! (teraz podnosi sztykiem rękawem laskę do twarzy jakby mierzył ze strzelby): ... a ze swego muszkietu tom samego basz tak z kobytę ściągnął! (mierzy do wiewiórki) Pif! Paf!

SARKA-FARKA: który śledzi zachowanie się Marcina równocześnie z nim podnosi rękę z pistoletem jakby miał zamiar strzelić do niego z zasadki, ale gdy wiewiórka przeskoczyła na drzewo, za którym stoi, szybko wziął ją na cel i przy słowach Marcina: Pif! Paf! wystrzelił.

MARCIN: (nie widzi rozbójnika i nie orientuje się w sytuacji, podbiega do wiewiórki, która spadła z drzewa i pochyliła się nad nią): No i widzisz rudzielcu, jak

Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści! (podnosi martwą wiewiórkę za ogon i ogląda straż) No, no, Marcinie, cel jak za starych do brych czasów! Prosto w łepki. A com ci mówił? Żebyś nawet basz tureckim była, to Marcinowi się nie wymknie! SARKA-FARKA (zbliża się tymczasem cicho od tyłu do Marcina i gdy ten wyprostowuje się przykłada mu pistolety do pletców): Ani mru-mru, chłopie, bo inaczej będziesz miał kulę w kiszka! MARCIN (wyprostowuje się po uli): O do diabła! To nas tu jest więcej?! A celujesz do mnie z laski, czy masz prawdziwą filintę?

SARKA-FARKA: Pistolet, że byś wiedział! I to dwa! MARCIN: No jak tak, to prze-waga po twojej stronie. Gdybyś miał tylko jeden, to bym jeszcze spróbował dzielić cię tym moim kosturkiem po głowie. Ale skoro masz dwa, to się poddaję. (Podnosi rękę do góry trzymając w jednej z nich wiewiórkę, przy tym dmuchnął jej we futerko i przyglądał się jej ze znuwaniem): No, no tuchta, nie ma co mówić. Samymi orzechami karmiona. (Podnosi rękę zupełnie ponad głowę trzymając w jednej laskę, w drugiej wiewiórkę). Hej, ty tam w ty! Jesteś zwyciężajny gajowy czy może sam pan leśniczy?

SARKA-FARKA: Ja jestem sławny rozbójnik Sarka-Farka, znany za dziewiątą rzeką i za dziewiątą górą, jestem arcymorderca, przed którym drży wszystko, co żyje! MARCIN: No to mi spadł kamień z serca! Bałem się już, że zaś będę miał jakieś nieporozumienie z gajowym! Z rozbójnikiem to się przecie zupełnie inaczej gada. SARKA-FARKA: Ze mną nie ma żadnego gadania! Wszystko, co żywego spotkam, zabijam, siekam, ćwiartuję i basta! Szybko zegnaj się ze światem, bo nie będę tam przy tobie, czasu do wieczora marnowa!

MARCIN: Przecie mnie już ręce zabolaly. (Opuszcza rękę, znów przy tym dmuchnął na wiewiórkę). Widzisz, dziecinno, taka to już koleja na świecie. Chciałem cię poślać na tamten świat, a jak się okazało, sam cię tam za chwileczkę dogonię. Hej, rozbójniku, pytam się, czy bym się mógł na ciebie popatrzeć, żebym chociaż wiedział, jak właściwie wyglądasz? Czterdzięci lat po świecie chodzę, ale żywego rozbójnika jeszcze nie ogląda!

SARKA-FARKA: Daj sobie z tym lepiej spokój! Kto na mnie jednym okiem spojrzy, okrutny strach zaraz na niego pada i wszystkie włosy stają mu dęba z przerażenia. Kto na mnie obydwoma oczyma spojrzy, temu się skórka wyskakuje na całym ciebie i ten już do samej śmierci nie będzie wesoły! A na kogo

Fragment komedii

jeszcze ja sam groźnym okiem rzucę, ten w tej chwili zupełnie rozum traci ze strachu!

MARCIN: Poczekaj, poczekaj, rozbójniku! Jakiś to rzekł: okrutny strach zaraz na niego pada? Wiesz co, a ja bym jednak na ciebie spojrzal! Dwadzieścia lat żem mundur żołnierski nosił, z różnymi wrogami żem wojował, z dzikim zwierzem żem się potykał, ba, nawet przeciw całemu regimentowi mameluków stałem w pojedynkę, alem strachu, przyjacielu, strachu jeszcze jakem żyw nie zasnął! Rozbójniku, ja chociaż... chciaż tym jednym okiem na ciebie spojrzę! (odwraca się). Nic z tego! Spojrzałem tylko jednym okiem i strachu nie czuję. Będę jednak musiał popatrzeć obydwoma oczyma... ba, znów nic. Wiesz, rozbójniku, że nawet gdy dwoma oczyma patrzę, też nie czuję strachu. Nie pozostaje nic innego, jak żebyś do mnie to swoje groźne oko zrobił!

SARKA-FARKA (robi zawodowo groźną minę): Kruciturk basama teremetete tuttiktanti pieskatwojaniebieska huuu!

MARCIN: Ale gdzie tam! Nic z tego nie będzie! Umrę a nie będę wiedział co to strach.

SARKA-FARKA (splunął i włożył pistolety za pas): Niech to pieron strzeli, co za jakaś natura! Całą przyjemność mi zepsułeś! Jakże ja cię mam mordować, kiedy się mnie nie boisz? A już od godziny mógłbyś być młynarzem w Czarcim Młynie.

MARCIN: Młynarzem? Bracie! To by nie było takie źle! Szukają tam może rzemieślnika?

SARKA-FARKA: Diabła tam! To jest taka rudera przy potoku pod królewskim zamkiem. Cały dzień stoi ten gruchot cicho, ale między jedenastą a dwunastą w nocy zaczyna turkotać. O tej porze żadna żywa dusza nie może się tam zbliżyć. Diabli zaraz każdego złapią i dopokóli to wszystko chodzi musi z nimi grać w diabelskiego mariazka. Kto przegra, tego tam zaraz w tym młynie ukatrupią. Dawno już powiadam, że powinien tam ktoś raz pójść i zrobić porządek!

MARCIN: Do licha, arcymorderco, toś ty tam jeszcze nie był?

(Dokończenie na stronie 2)



Jan Sztursa:

T. G. Masaryk.

BOHUMIL MATHESIUS

Droga literatury do ludu

BOGUMIL MATHESIUS

ur. 14 lipca 1888 r. w Pradze, poeta, tłumacz z rosyjskiego i niemieckiego. Dramaturg, publicysta literacki. Zadebiutował w roku 1918 tomem wierszy „Wiersze o matce, miłości i śmierci”. Przekładał zwłaszcza wiersze chińskie. Nadto przełożył na język czeski w wielu pisarzy rosyjskich, klasycznych i współczesnych, od Lermontowa po Majakowskiego, Francuzów (Gide), Włochów (Silone), Bułgarów (Jowkow), Niemców (Fallada, ale głównie dramaty Goethego, Schillera, Lessinga, Hauptmanna). Pomocny artykuł to fragmenty przemówienia, wygłoszonego na pierwszym zjeździe powojennym pisarzy czeskich.

Pierwsze pytanie, które sobie postawiłem po przemysleniu tematu, było takie: czy w ogóle trzeba mówić o drodze literatury do ludu językiem, którym pisali Erben, Niemcova, Havliczek i Neruda? Jeśli wówczas droga ta istniała, czyżby się była teraz zgubiła lub czyżby ją zawiązało? Do jakiego ludu ma ona wiesić? Dzisiaj mamy ludową demokrację, zatem „ludową władzę ludu”. Przed rokiem 1938 mieliśmy demokrację, zatem tylko władzę ludu. Już z tego wynika, że istnieją dwa przynajmniej pojęcia ludu, lud oznaczony 1938 i lud oznaczony 1948. Któż jest jednak tym ludem? Ludem demokracją, socjalistycznym, ludem narodowo-socjalistycznym, ludem komunistycznym, ludem „ludowym”, ludem białych kartek, — ale gdy siadam do biurka i zaczynam pisać, czyżbym przestał wtedy być ludem?

Takie były pytania, które zadałem sobie a z nich wynikało jedno: że pojęcie ludu zmieniło się, że zachodzi konieczność zdefiniowania i różnicowania. Ową czystelnicy substrat, dla którego tworzyli pisarze, zmienia się, zmienia się także stosunek autora do niego, zmienia się skład społeczeństwa, z którego pisarze wyrastali i dla którego pisali.

O tym pragnę powiedzieć. Przedtem jednak wyjaśnić należy nieco więcej.

Porozmawiajmy o tym, jak to zmieniał się skład społeczeństwa czeskiego w drugiej połowie ubiegłego, a w pierwszej bieżącego wieku, jakie stanowisko w nim zajmowali literaci, jaki wiązał ich z nim stosunek...

W drugiej połowie ubiegłego stulecia górne warstwy naszego społeczeństwa ulegały wolnej ale gruntownej przemianie w burżuazję. Rosły gospodarczo i socjalnie i budowały także swą kulturę. Padło hasło: dopędzić Europę. A Europa dała się dopędzić. Jaka Europa? Europa umierającego zachodnio-europejskiego mieszczaństwa. Ilu naszych najlepszych ludzi polykało żarłoczne to hasło! Stawało się ono nienasyconym smokiem a przecieć miałyby swoją wartość, gdyby tylko lamalo organicznie prowincjonalną sztywność, popędzało prąd naszego życia kulturalnego. Był to okres kształtów ciężkich i nieforemnych, bogato obwieszonych draperii, bibliotek ze złotymi orszakami, okras „Złotej Pragi”, Liebscherów, Pirnerów, Schmirchów, Narodního Divadla z jego złotem, pluzem i wieloma lożami dla panów mieszczań, podczas gdy „lud” drapał się (o ile w ogóle dostał się do teatru) na drugą, w najlepszym razie pierwszą galerię. Był to okres, kiedy chcieliśmy mieć pompatyczne opery à la Meyerbeer, powieść społeczną z haute volée jak Paryż, pisarzy jak Viktor Hugo a salony wystawowe jak Berlin. Dlaczego wspomina się o tym? Udać jemy, mówiąc o kul-

Naprzód!! Ani kroku wstecz!!

Wielkie dni, w których rozstrzyga się los naszego narodu i naszej republiki wzywają do bezwzględnej gotowości i odpowiedzialności wszystkich szczerych patriotów, wszystkich ludzi dobrej woli. W tej historycznej chwili zwracamy się do wszystkich pracowników kultury, do całej twórczej inteligencji w narodzie, by zajęła otwarcie miejsce u boku czeskiego i słowackiego ludu, który z takim zapalem wywstał w obronie ojczyzny.

Pracujący lud Czechosłowacji, który już w trzyletnim spontanicznym trudzie złożył dowody swego głębokiego patriotyzmu przez niezmierny wysiłek pracy i który swoją miłością pracy pomógł zabić z rąk rannych wojny i okupacji, trafnie rozpoznał zdrajców, którzy zagrozili naszemu spokojnemu rozwojowi w kierunku nowych, wyższych form wolności narodu i człowieka. Potężnym zrywem narodowym przypominającym sławne dni kwietniowe w nieważ obrócił szkodliwą robotę, zapobiegł zamieszaniu i rozbięciu, i skupia się masowo w tych dniach w szeregach odrodzonego frontu narodowego będącego rzeczywistą reprezentacją narodu czeskiego i słowackiego, w patriotycznym obozie robotników, chłopów, zawodowców i inteligencji pracującej. Wszędzie powstają komitety akcji nowego frontu narodowego, w których prócz partii politycznych i związków łączy się do zgodnej współpracy w ramach wielkiej ogólnonarodowej organizacji pracownicy kultury i przedstawiciele życia religijnego oraz wszyscy uczciwi ludzie bez względu na przynależność partyjną. Miejsce każdego pracownika kul-

tury, któremu nie są obojętne losy narodu, jest w tych faktycznych reprezentacjach ludu.

Z ich zgodnej wspólnej woli wyrosła nowa władza odrodzonego frontu narodowego, która wypełni program odbudowy i zabezpieczy naszą czeskosłowacką drogę do socjalizmu, na którą wkroczyliśmy w dniach kwietniowej rewolucji. Umocnione zostanie i pogłębione unarodowienie naszej gospodarki. Ziemia zostanie prawnie nadana tym, którzy na niej pracują i zapewniają narodowi wyżywienie, rozległy system ubezpieczeń stworzy wszystkim warstwom narodu spokojne perspektywy życiowe, reforma podatkowa przyniesie ulgę nie tylko chłopom i robotnikom, lecz również przedstawicielom woynych

udział w tym wielkim dziele narodowym, stać się naprawdę żywym sumieniem narodu, rzutować nowe perspektywy, kształtować nową moralność, wzbogacić życie narodu przez wniesienie nowych wartości duchowych. Stać się również musimy apostołami nowej idei słowiańskiej, która przynosi światu prawdziwy humanizm, myśl o szlachetnym pokonaniu i radośnie pracy dla dobra narodu. Stwórzmy żywą współpracę ze słowiańskimi braćmi narodami wsiastkimi na polu tak nauki jak sztuki, powołajmy do życia potężne prądy kładące między kulturami naszych narodów.

Apelujemy do was wszystkich, mistrzowie i robotnicy kultury narodowej, byście w tej historycznej chwili nie pozostali poza obrębem wspólnoty narodowej, byście otwarci i jasno stanęli u boku ludu pracującego. Wstępujcie do komitetów akcji Frontu Narodowego, pomagajcie w unieszkodliwianiu sił ciemnoty i wsteczniactwa, weźcie czynny udział w organizowaniu się postępowych sił narodu, które zapewnią naszemu pięknemu krajowi szczęśliwą i dobrą przyszłość.

Naprzód! Ani kroku wstecz!

Powyższy apel do pracowników kultury pojawił się w nrze 8 z dnia 25. II. br. tygodnika dla spraw kultury i polityki TVORBA. Już w tym numerze pod apelem tym podpisało się bardzo liczne grono pisarzy, artystów, aktorów i pracowników teatru oraz działaczy kulturalnych. Dalsze podpisy osób solidaryzujących się z tym apelem napływają.



Richard Wiesner:

Ilustracja.

zawodów. Przez plan pięcioletni stworzone zostaną również warunki dla potężnego wsparcia rozwoju kulturalnego, dla prawdziwej demokratyzacji kultury, która musi pójść naprzód i opromienić życie całego narodu.

Zadaniem nas, pracowników kultury, jest zgłosić swój czynny



Ludvík Kuba:

Autoportret.



Antonín Slavíček:

Most w Pradze.

V Praze dne 9. ledna 1948.

Rád vyhovuji milému pozvání redakce "Odry" a píšu úvodem několik slov pro dvojčíslo, které je věnováno ukázkám z děl našich básníků a prozaičů. Skutečnost, že toto číslo vychází v den 7 března, v den narozenin našeho presidenta-Osvoboditele T.G. Masaryka, je nejen radostná a příznačná symbolickým sepejetím jména všem nám tak drahého právě s oblastí básnické a spisovatelské tvorby, nýbrž i připomínkou důrazu, s nímž ukazoval T.G. Masaryk na nejspolehlivější způsob poznávání národní duše a charakteru: na poznávání prostřednictvím uměleckého díla a z něho zvláště poesie a krásné prózy. Bývalo tomu tak, že se často navzájem nejméně znaly národy slovanské. A i když si svoji literární tvorbu vyměňovaly, zůstávala její četba omezena na vybraný okruh inteligence, aniž pronikala do širokých oblastí lidu. Klasická literatura polská je u nás dobře známa, stejně jako jsou naše největší díla a památky literární známy v Polsku. Učinme na vzájem vše, co je v našich silách, aby znalost kulturních pilířů pronikla na obou stranách do vrstev nejširších. Ale učinme také vše, aby i literatura moderní, představující nejživější dnešek u Vás i u nás, vytvořily tu ozvučnou desku poznatků kulturních, s jejíž pomocí je možno, jak také věříme s T.G. Masarykem, nejen pevněji vázat vztahy politické, nýbrž je i produševňovat a zjemňovat.

Pozdravuje Vás upřímně
Dr. Eduard Benesz

EDVARD BENESZ

List do »Odry«

Chětně odpovídám na mile zaproszenie redakcji „Odry“ i kresle kilka słów wstępnych dla podwójnego numeru, poświęconego wybranym fragmentom dzieł naszych poetów i prozaików. Fakt, że numer ten wychodzi w dniu 7 marca, w dniu urodzenia naszego prezydenta - Osvobodziciela T. G. Masaryka, jest nie tylko nadosny i znamienity przez symboliczne powiązanie tego tak drogiego nam imienia właśnie z dziedziną poezji i twórczości pisarskiej, lecz jest także i przypomnieniem nacisku, z jakim T. G. Masaryk wskazywał na najpewniejszy sposób poznania charakteru i duszy narodu, tj. na poznawanie ich za pośrednictwem dzieł sztuki, a z nich w szczególności za pośrednictwem poezji i prózy artystycznej. Býwalo tak, że często najmniej znaly się wzajemnie narody słowiańskie. Nawet gdy wymieniały pomiędzy sobą twórczość literacką, jej czułość ograniczone zostawało do wybranego kręgu inteligencji, a nie przenikało do szerokich rzesz ludu. Polska literatura klasyczna jest u nas dobrze znana, tak samo jak w Polsce znane są nasze największe dzieła i pomniki literatury. Uczynmy wzajemnie wszystko, by znajomość filarów kultury przeniknęła po obydwu stronach do najszerszych warstw. Ale również uczynmy wszystko, by także literatura współczesna obrazująca najżywniejsze problemy dnia dzisiejszego Wasze i nasze tworzyła oddźwięk owego poznawania się kulturalnego, przy pomocy którego można — jak wierzymy razem z T. G. Masarykiem — nie tylko pewniej wiązać wzajemne stosunki polityczne, ale również je ożywiać i pogłębiać.

Pozdraviva Vas serdecznie

Dr. Eduard Benesz



Poezie z atelier w „Lucernie“.

ZDENIEK NIEMECZEK

Listy z Islandii

(Z dwudziestu dziewięciu listów, list drugi)

Tak, bo jest to, poza Arktydą, ostatni szmat ziemi, zdobyty przez człowieka!

Zaledwie od tysiąca lat człowiek ten po niej stapa, zamieszkał na niej, korzysta z jej darów, walczy z nią, walczy o nią, nazywa ją matką i majątkiem, nieraz się jej boi. A gdy ją opisać, zawsze za nią tęskni.

Już od zmierzchniętych czasów zapoznaly się wszystkie kontynenty z człowiekiem, wszystko jedno jakiego koloru. Już dawno w starożytnym świecie wspomniano dzieje dalekiego bohaterstwa, pychy i dążenia do władzy. Runęła dawno potęga pogańskiego Rzymu, który zdążył już o swej sławie zapomnieć, a na tej wyspie, na tej wielkiej wyspiarskiej ziemi, nie powstała jeszcze noga człowieka. Aboiem była to ziemia bez człowieka.

Królowaly tu straszliwe żywioły, zawsze gotowe zmieść jakakolwiek iskrę życia. Ziemia chwiała się, otwierała, wzdymała, pętrzyła i wyrzucała z siebie potoki wrzącej lawy i wody, tworzyła w bólach poczęcia, bo była tutaj jeszcze taka młoda, tak bujna i tak niedołęka od pierwszego skienia Stwórca.

Nim przyszedł człowiek, przyroda żyła bez niego, kierując się własnymi jego prawami. Nikt nie ujmował w karby jej gorących żródeł, nikt ich nie otaczał murami, nikt nie nagiął od swej woli sily wodospadów. — Ssak, ryba, ptak, owad, drzewo czy płód — nie mieli nawet najmniejszego wyobrażenia o tych, którzy teraz nazywają się panami stworzenia. Jeziora i rzeki obfitowały w psstragi; — miliony lososi przedzierały się z końcem każdej wiosny ku źródłom wspaniałych rzek, płynących we wszystkich kierunkach. Za lososiami szły foki lecz nigdy człowieka.

Nad jeziorami, dokoła rzek o wodzie przezroczystej — ze źródeł lub mętnej — z lodowców, nad bazaltowymi przepaściami i szczyłkami w lawie, szły ciągi dzikich gęsi i kaczek, nad przybrzeżnymi skalami i nad mierzajami krażyły

cał potężnej ziemi sąsiedniej, której później nadano ludzkie miano: „zielona ziemia“: Groenland. Tak więc wszystko rozdziło się, żyło i umierało, wiedzione jedynie prawami instynktu samozachowawczego. Niczyja wola nie decydowała o tym, jak, co i gdzie ma rosnąć, żyć i rozmnażać się; — niczyja wola, prócz Bożej. — Na zieleni pastwiskach u ujścia rzek było spokojnie i cicho; — martwa cisza panowała również nad pełnymi przepaściami polami zakrzepłej lawy, przypominającymi powierzchnie księżycy.

Niekiedy nadciągaly gromoty, ziemia się trzęsła, góry zionęły ogniem, siarka i lava, która smugami ściekała szybko w dół, gdzie już waliła swobodnie, kryjąc wewnątrz ogień i pozostawiając na wierzchu dymiący żużel o popielato-czarnej barwie. Wszystko co żyło wtedy uciekało i ulatywało, reszta ginęła. Zaskórne wody, zatkanosy się z płynącą magmą, wybuchały ku górze, jak oszale. Strugi parły uzbijały się tu to tu tam; — na równinach i na skalnych progach tworzyły się jeziora wrzącej wody, która przelewała się przez brzozy i ściekając ku



Josef Czapke

Gwinzdy

dolinom długo jeszcze, zanim ochłodziła, wskazywała śną drogę oblokami parą.

Potem znów cichło wszystko, pozostały jeno gorące źródła i stygnąca, spękana lava. I ona zresztą wkrótce, po paru stuleciach, pokrywała się najpierw porostami a potem gestym mchem; — ten zaś z kolei dawał życie czemu innemu, co się rozpleniło i na tym mchu osnuło swoje biologiczne twanie.

Tak szło to od stu i tysiącleci, od pradawnych czasów, według najwyższych wyroków.

I wciąż jeszcze nie pokazywał się tutaj, twór najwyższy, zachwały, okrutny pan wszystkiego, co spłakał na drodze.

Aż raz od wschodu... Nie wiem, czy było to w taki dzień, jak dziś. Myślę, że widoczność wtedy była lepsza, że ów pierwszy, który zobaczył wielką wyspę, ujrzał ją z daleka bądź w słonecznym świetle dnia, bądź którejś białej nocy; — na pewno jednak omiał na widok jej potężnych gór.

Przyszedł człowiek, Zabrzmił jego głos. Mówią, że stało się to w lecie roku 795 chrześcijańskiej ery. — Oczywiście, że w lecie. W zimie by się człowiek ów nie mógł tu dostać, nie dopuściliby go tutaj szalony ocean, smagnany przez lodowate burze. — Człowiek ten, ścieśle mówiąc, trzej mówię, dzierżył w ręku krzyż, gdy wstępowali po raz pierwszy z pokładem nie krytej lodzi na bazaltowe góry wybrzeża.

Gnął ich w tę drogę żar Chrystusowych prawd, w strony, gdzie według ich zdania dotąd jeszcze nie dotarło światło i ku zbawieniu pokoleń człowieczych jedynie potrzebna nauka. Szukali tego, komu chcieli przynieść krzyż; — biedacy. Straszliwa siła wiary pomogła im w odkryciu tej wyspy. Byli to trzej irlandzcy mnisi, o których wspomina księga „Liber de mensura orbis terrae“, napisana w roku 885. — Sądził, że dotarli do ziemi Thule, Ultima Thule, na końcu świata, o której pisali poeci starożytności, na przykład Pytheas. Zatem, ponieważ tak sądzili właśnie poeci a nie kto inny, że jest gdzieś legendarna ziemia, stojąca na straży świata, przeto miałem obowiązek, powinność a przede wszystkim prawo uczynienia tego z wielką przyjemnością — list ten poświęcić tobie.

Verid thér blessadir og saelir! Zegnaj i bądź pozdrowiony!

Tak się tu pozdrawiają ludzie. Przel. Aleksander Baumgarten

KLEMENT GOTTWALD

Z programu



Szczególna uwaga poświęcana będzie szkołom fachowym. Przy tym trzeba postarać się o to, aby napłynę uczniów do szkół fachowych był regulowany ze względu na nadmiar pracowniczych sił w dystrybucji i administracji i ze względu na brak młodzieży w przemyśle i w dziedzinach produktywnych w ogóle.

Z tego punktu widzenia trzeba będzie przygotować reformy studiów na szczeblach wyższych z uwzględnieniem wszelkich potrzeb życia kulturalnego i gospodarczego. Specjalną opiekę należy rozwinąć nad studium technicznym przez należytą organizację wyższych szkół technicznych i przygotowań do studiów technicznych na szkołach średnich. Do osiągnięcia tego celu służą będą starania o wybudowanie technicznego muzeinictwa i instytutów badań.

W ramach możliwości gospodarczych należy uskutecznić ustawę o akademickim wykształceniu nauczycieli przewidującą utworzenie pedagogicznych fakultetów na naszych uniwersytetach.

Stosunki panujące w życiu teatralnym wymagają uchwalenia powszechnej ustawy o teatrach, aby teatr uzyskał podstawy prawnopubliczne. Utworzone będą także państwowe centrale muzyczne i artystyczne, aby i te galeje sztuki były pod kontrolą publiczną.

Dojrzało także zadanie wybudowania Czechosłowackiej Akademii Nauk jako centralnej państwowej instytucji pracy naukowej. Dalej trzeba upaństawić i rozbudować Muzeum Narodowe oraz wybudować Galerię Narodową.

O ile chodzi o radio i film, trzeba dokonać ostatecznego prawnego i organizacyjnego uporządkowania zarządu radia czechosłowackiego i czechosłowackich przedsiębiorstw filmowych.

Z wygłoszonego na Konstytucyjnym Zgromadzeniu Narodowym 8 lipca 1944 w Pradze, programu odbudowy Rządu premiera Gottwalda.

A. M. TILSCHOVA

W biurze kopalni

Cecylia włókła obu swoich chłopców po schodach w górę i na dół zanim wreszcie znalazła właściwe drzwi. Potem znów dłuższą chwilę czekała, aż któryś z urzędników raczy ją łaskawie zauważyć. Biuro kopalni wyglądało tak, jak wszystkie biura na świecie: kurz i papiery, papiery i kurz, pustka i nuda na stołach i na papierach. W pokoju nagie ściany i tylko jeden jedyny portret młodzieńczego cesarza Karola.

— Czego chcecie? — zwrócił się wreszcie do niej brunet z krótko przystrzyżonym wąsikiem.

Kobieta podsunęła się drobnym lecz zdecydowanym krokiem i bez słowa podała mu brudny, wymiętoszony strzępek papieru.

Urzędnik obejrzał papierek z obu stron i oddał go jakimś brodaczowi. Tamten wziął go w rękę machinalnie, typowym gestem urzędnika, owym charakterystycznym przejawem wstrętnej obojętności dla człowieka. Rzuciwszy porozumiewawcze spojrznię brunetowi, zawołał na nią: — Zostawcie dzieci przy drzwiach a wy, matko, chodźcie tutaj!

Mnięła spora chwila; widac było, że jakieś bolesne skrepowanie zamyka usta brodaczowi. Wreszcie zmarszczył brwi, pochylił się, wyciągnął dółną szufladę, wydobyl z niej sporą paczkę i z niechęcią rzucił ją na stolek.

No, to jest wasze, matko! Kiedy Cecylia wyciągnęła rękę po paczkę, w oczach jej stalowym błyskiem zainicjowało pytanie i niedowierzanie.

— Tylko sprawdźcie, czy wszystko w porządku! — burknął jeszcze urzędnik i odwrócił się.

Niezdarne palce z zadziwiająca zręcznością rozplątywały opakowanie: z grubego papieru wysypały się na jej ręce części starego ubrania — kurtka, spodnie, pasek i kamizelka jej męża. Chwilę stała z głębią brudną nad oczami, wreszcie spytała:



ANNA MARIA TILSCHOVA

ur. 1873, powieściopisarka i nowelistka, wybitna przedstawicielka realizmu w literaturze czechosłowackiej, autorka wielu powieści społeczno-psychologicznych, mających za temat rozkład warstw mieszczańskiej zwłazka w środowisku praskim. Debiutowała w r. 1903. Jej pierwsze, znacznie niejsze powieści wychodzą w latach 1916-1918 („Stara rodzina“, „Synowie“). Kontynuacją ich tematyki jest powieść „Dziedzic“ (1924), po czym przenosi się autorka do śląskiego środowiska wielkoprzemysłowego („Haldy“ 1927, „Dalsze powieści“). Wreszcie powieść o trzech generacjach kobiet „Matki i córki“ (1935) oraz „Powrót“ (1945).

— Co to z tym? — Jak to: co to z tym? Przecież już wam mówiłem, że to jest wasze, po mężu, jako żony wdowy!

Przy tych słowach zagasło natychmiast spojrzenie stalowych oczu, natomiast po okrągłej twarzy potoczyły się bezdźwięcznie dwie wielkie łzy.

— Nie płacicie, matko, coś tam zawsze dostaniecie... Dlatego wam tu wezwano — pocieszał ją brodacz.

Załamawszy pod chustką sekretne rece Cecylia z wrodzoną trzeźwością starała się w ramy konkretnych cyfr wtłoczyć całą nędzę wdowy po górniku, jaka teraz stanęła przed jej oczyma: — Mój Boże, skoro z chłopakiem i trzema dziećmi wyżyłam ze sześć słówek, to wyżyje i za dwa, jeśli będzie potrzeba.

Lecz po twarzy jej, zacierwionej od placzu i wzruszenia, nie przestawały płynąć ogromne, ciężkie łzy. Lży żalu za pracovitą i wiernym mężem, za Janem Chochoniem, który tak nagle zniknął. Była przekonana, że siedzi gdzieś w więzieniu, bezpieczny, chociaż tylko o chlebie i wodzie.

Urzędnik, przywycieczony w takich wypadkach słysząc narzekania, wymyślania i przekleństwa

(Dokończenie na stronie 6)



Na cześć zmarłego w ubiegłym roku pisarza Stanisława Kostki Neumanna, jego imieniem nazwano szyb wyciągowy na kopalni pod Mostami.



ZDENIEK NIEMECZEK

ur. 1894, powieściopisarz i dramaturg, autor książek podróżniczych, epik losów czeskiej i słowackiej emigracji zarobkowej na zachód i do Ameryki. Debiutował w r. 1920, po dłuższej przerwie nazwisko zdobył wydaniem w roku 1932 powieści „Nowy Jork: zamglone“. Inne wybitne powieści tego autora to „Na zachód od Panonii“ (1935) i „Diabeł mówi po hiszpańsku“ (1939, rzecz osnuta na tle wojny domowej w Hiszpanii).

Z gęstej mgły i deszczowych nauisów wynurzały się zastygłe szczyty gór. Nauczyciel islandzki ze szpakowatą grzywą i rozmarzonymi oczami wskazywał grupie swych uczniaków miejsca, obok których stękał przepływał Minelłny już Westmańskie wyspi; — zostały gdzieś z lewa, we mgle.

Określ sędzi ostrożnie, ze względu na to, że po ostatnim wiosennym wybuchu Hekli, dno dokoła tych wysp ulegało zmianie a masy morskie zaczęły nagle wykazywać nieścisłości. Kapitan mierzył ano aparatem dźwiękowym. Wszyscy myśleli, że ujrzą Hekle, która, jako że ma dokładnie wysokości Wezuwiusza, miała być widoczna z dalszej odległości. Myliliśmy się jednak wszyscy, nie było nam sądzonym...

Pocieszał nas chłopak okrętowy, który nam się zwierzył, że mija ten brzeg dwudziesty raz z rzędu i nigdy dotychczas nie widział tego wulkanu od strony morza.

Prawie zawsze spowity jest w mgły i gardzi tymi nędznymi punkcikami, które nazywają się ludźmi.



JOSEF KOPTA

ur. 1894, zastąpił przede wszystkim jako epik działającego pod koniec pierwszej wojny w Rosji...

Miałem osiem lat, gdy zjawiała się w naszym domu. Przedem zaniem jak tylko z sąsiedztwa...

VILEM ZAVADA



ur. 1905 w Hrabowie k/Ostravy, jeden z najwybitniejszych poetów, reprezentujący poezję o głębi...

W niewoli

Z terkotem maszynówek nagle ściągają w koszarach na dworze rolę śmierci...

Nie przebrzmiał jeszcze łoskot salw a znów jak echo pośród skał skandują szorstki rytm...

Innych zdobych w aureole wyrzeźbiła twarzą boleś — tak się diament brusi w prochu własnym...

Czy podniesie się gdzie postać blada i w kącie jakiegoś zacznie peltać...

Wychudli z głodu do kości więźniowie ląkną na koniec jak ogień co chwytą powietrze...

Tam w dole kłosa ropy, moczu, kału, śmierzący rozczyn nasycony...

Kanały wiają się niwą tak urocą, marzącą, tkliwą, wszak z nich zapach wód nie zawionie...

Ziarnkiem siedzą na brzegu rozkosze chłonąć tragików w dół tylko patrzą do lustra...

Ale jak kryształ rany swe leczy i swe krawędzie goi z okaleczeń, tak w swym rozczyłku myśmi się stali...

Wszak zaledwie promyk na nie błąd padł, i oni jeli się rozkładać w siedmiobarwną tęczę...

Przełożył Aleksander Włodek.



Z górniczego filmu „Syrena” według scenariusza Marii Majerowej.

Chłopiec i śmierć

Ale pewnego dnia śmierć zjawiała się u nas, śmierć inna i nieznaną, zupełnie dla mnie nową...

Ale za dwa czy trzy dni wstał nagle w nocy i przyszedł za nami do obory...

Należy się to wam, tato — odpowiedział ojciec niepewnie. — Nie o to idzie — machnął ręką...

Wskazał przy tym ręką na łóżko, na którym siedział, i zaraz wstał by ułożyć krzaczaste pierzyny...

I wszedłszy na łóżko ugniał pierzyny nogami jak koniczyny.

sie dziadkowego szaleństwa w jego izbie widywał, ale minęło już od tego czasu dwadzieścia pięć lat...

Ubrany był w to samo czarne ubranie, w którym przed sześćdziesięciu laty szedł do ślubu...

— Tóż co na to rzekniesz, Waclawie? — Należy się to wam, tato — odpowiedział ojciec niepewnie.

Wskazał przy tym ręką na łóżko, na którym siedział, i zaraz wstał by ułożyć krzaczaste pierzyny...

— Ale jakżeście go sam tu dostali? — spytał rozsądnie ojciec, na co dziadek odpowiadał tajemniczo.

— Tak, tak chłopcze, to nie koźdy poradzi. I wszedłszy na łóżko ugniał pierzyny nogami jak koniczyny.

którę nakościł za dużo i którą z trudem tylko mieścił mu się na wozie...

— Terazki zapraszam i jadym! — rzekł pożegnawszy się z nami.

— U Baruszkę tam o to mów Lucke. (Baruska była to babka, która umarła dziesięć lat przed nim.)

Podszedł do ściany, odwiązywał Luckę od żłobu i dokładnie tak samo jak to latami robił wyprawdzał ją ze stajni do wozu...

Wyprawdżono nas, posłaliśmy spać a rano dziadek już nie żył. Dwom rzeczom nie wierzyłem...

Widziałem go w trumnie i poznałem śmierć. Ale była to śmierć uśmiechnięta. — Przełożył Zdzisław Hierowski.

K. J. BENESZ

Amnestia

— Cicho! — odezwał się Suk surowym, żołnierskim tonem. — Chłopcy, na polecenie tutejszej komendy...

— Ale ponieważ wiemy — ciągnął dalej Suk, a jego żółte lampasy, teraz już odznaka honorowa...

— Ale poczuł, jak prąd elektryczny, który przebiegł po ciele Jazbery, przeskończył i na jego nerwy, i boleśnie nim zatargał...

— No wiecie? Czy mam was sam wyciągać z szeregu? — Bilek zwrócił głowę w stronę Jazbery...

— To chyba z powodu tej amnestii, co? — Suk spojrział nań ze zdumieniem...

— Przecież ogłaszają z Moskwy, że dla nas, niepolitycznych, będzie w dzień odzyskania wolności...

— Słyszeliście? — Suk zwrócił się do szeregu. A potem znowu do Ferdy...

— No, Antek, wylaż! Szkoda gadać, nie wymkniesz się... E, do diabła, Jazbera, coś ty głuchy? — Znowu odezwał się Suk.

— No, Antek, wylaż! Szkoda gadać, nie wymkniesz się... E, do diabła, Jazbera, coś ty głuchy? — Znowu odezwał się Suk.

— No, Antek, wylaż! Szkoda gadać, nie wymkniesz się... E, do diabła, Jazbera, coś ty głuchy? — Znowu odezwał się Suk.

— No, Antek, wylaż! Szkoda gadać, nie wymkniesz się... E, do diabła, Jazbera, coś ty głuchy? — Znowu odezwał się Suk.

Czuję tylko, jak coś w nim wewnątrz lamie się i wali, jak kiedy wali się w gruzy bombardowane miasto...



ur. 1896, powieściopisarz, prozaik o świetnie opanowanej narracji. Debiutował w r. 1920, a le szerszy rozgłos zdobył w latach...

— No, Antek, wylaż! Szkoda gadać, nie wymkniesz się... E, do diabła, Jazbera, coś ty głuchy? — Znowu odezwał się Suk.

— No, Antek, wylaż! Szkoda gadać, nie wymkniesz się... E, do diabła, Jazbera, coś ty głuchy? — Znowu odezwał się Suk.

— No, Antek, wylaż! Szkoda gadać, nie wymkniesz się... E, do diabła, Jazbera, coś ty głuchy? — Znowu odezwał się Suk.

— No, Antek, wylaż! Szkoda gadać, nie wymkniesz się... E, do diabła, Jazbera, coś ty głuchy? — Znowu odezwał się Suk.

— No, Antek, wylaż! Szkoda gadać, nie wymkniesz się... E, do diabła, Jazbera, coś ty głuchy? — Znowu odezwał się Suk.

— Chciałem tylko powiedzieć... — odezwał się znowu Bilek. — Lecz Suk mu przerwał: — Znasz go?

— Nie, Jazbera, wystąp z szeregu. „Wystąp ze świata, Jazbero” — dosłyszał w głębi serca okrutny, szyderczy głos...

— Naprzód! Marsz! — rzucił rozkaz Suk. Jazbera szybko obejrzał się na Bilkę...

Bilek z oczyma wbitymi w ziemię, pograżony w bolesnych uczuciach bezsilności i wstydu, nie dostrzegł jego spojżenia...

Bilek otarł ręką twarz. Jak „dąb” chciał z niej zetrzeć coś niezdobnego, potem z pięściami wsadzonymi w kieszenie...

Bilek otarł ręką twarz. Jak „dąb” chciał z niej zetrzeć coś niezdobnego, potem z pięściami wsadzonymi w kieszenie...

— No, Antek, wylaż! Szkoda gadać, nie wymkniesz się... E, do diabła, Jazbera, coś ty głuchy? — Znowu odezwał się Suk.

— No, Antek, wylaż! Szkoda gadać, nie wymkniesz się... E, do diabła, Jazbera, coś ty głuchy? — Znowu odezwał się Suk.

— No, Antek, wylaż! Szkoda gadać, nie wymkniesz się... E, do diabła, Jazbera, coś ty głuchy? — Znowu odezwał się Suk.

— No, Antek, wylaż! Szkoda gadać, nie wymkniesz się... E, do diabła, Jazbera, coś ty głuchy? — Znowu odezwał się Suk.

WIERSZ

JAROSLAV SEIFERT

ur. 1901, jeden z najbardziej utalentowanych liryków czeskich po r. 1918. Wyszedł z poezji „proletariackiej”, rewolucyjno-społecznej...



Wojno!

Jesieni, jeszcze na dnie śpiewa cichość i źródło pokój. I jeszcze dzwoni i pobrzmiewa ta pieśń. Czy długo?

I marzą jeszcze o miłości, winośniu, kochanków ręce i usta; kiedyż ostatni ślad króków twych zarośnie — wojno! Ach, kiedy?

Przy szosach czolgi powalone szkieletołów stają jeszcze straszą, jak gdyby w blaskach zróznowu, czerwone, plosłyby syn dzieciom naszym.

Matki pieluszki miękkie piora, szczęście i ufność w ich słowach. Całuj im ręce. Ale która, która wpiერw pocałować?

Czy tę, co się na piersi kładzie, czy tę, co dziecko przysparnia? Widzisz: nie można opuścić, zdradzić miłości, wiary, oddania.

O, wojno — do dziś jeszcze przy nas twój koszar. Jeszcze straszny. Niech jesień nam utoczy wina, z dłoni pić będziem jak z czaszy.

O, jakże pięknie i jak rzewnie są matek pragnienia skromne! Im starcy ziarna garść — byle pewne były mogły ciszy śpiewanie.

Tej ciszy, ciepła, woni kwiatów... A piękniej niż dział głos wola — dźwięk skrzypiec, tkliwa muzyka fletu. Szczęście: kołyska, ul, pszczoła.

Już nigdy, ptaki, dzieci, kochankowie, nie będą, wojno, twoi. Ty możesz tylko w przydrożnym rowie rdzewieć w twej pysznej zbroi.

Przełożył Adam Włodek.

PETR KRZICZKA



ur. 1884, poeta, wypowiadający się w formach tradycyjalistycznych, liryk rozmawiany w kraju...

Matczyne oczy

Gdy ziemia dusi się i tonie w bagnie kłamstwa, gdy życie niczym już jak tylko rzeczka zła...

gdy z samych piekieł dna i w wyżyn wniebowziętych chichocze stary Egarz i syczy chłodna złość...

gdy rab tu wstrętny nie da garść stęchłego ryżu, lecz z całej duszy pieśń, dla której władać kał...

gdy darmo tęskni duch za ręką bożej śladem w sumieniu ludzkim tu i w wiecznym szuku gwiazd...

Przełożył Aleksander Włodek.

FRANTISZEK HRUBIN



ur. 1910, czołowy przedstawiciel poezji młodego od Halasa i Seiferta pokolenia. Debiutował w r. 1933 („Śpiew z daleka”).

Raz po zachodzie słońca

Wśród woni boru słońce zapadło w księżycą trwanie. A między jednym a drugim pocałunkiem...

Wśród woni boru słońce zapadło w księżycą trwanie. A między jednym a drugim pocałunkiem...

Wśród woni boru słońce zapadło w księżycą trwanie. A między jednym a drugim pocałunkiem...

Wśród woni boru słońce zapadło w księżycą trwanie. A między jednym a drugim pocałunkiem...

Przełożył Adam Włodek

